płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1 15.V.1988 9

BIBL. Nr/C Czyt

Fot. Stefan Rutkowski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

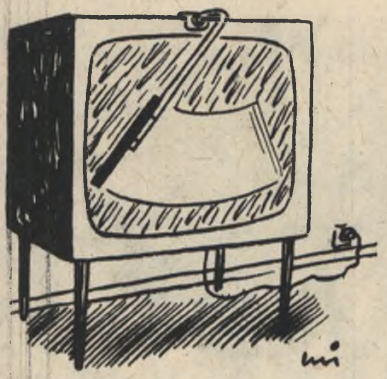

Telewizor na deszczową pogodę

Przepraszamy za usterki techniczne

— Wreszcie będziemy mieli kolorowy telewizor!

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

DRZEWA tracą liście niejednocześnie. Jesienią jako pierwsze gubią liście graby, wiązy i kasztany. Buki i jesiony tracą najpierw liście na końcach gałęzi, a lipy wewnątrz korony. Potem opadają liście z klonów, dziko rosnących drzew owocowych, leszczyny, brzóz i olch. Najpóźniej gubi liście dąb. Utrzymują się one na gałęziach aż do przyszłej wiosny.

Igły sosny opadają po 2—4 latach, kosodrzewiny i świerków po 4—8 latach, jodły po 6—8 latach. W okolicach górskich igły na drzewach trzymają się do 12 lat.

●

OBLICZONO, że jedno drzewo dostarcza w ciągu 10 lat tyle tlenu, ile zużywa człowiek w ciągu 20 lat życia.

●

SĄ DRZEWA chlebowe, mlekowe, masłowe, kiełbasiane. Jest i drzewo zwane puchowym. Jego nasiona pokryte są jedwabnymi włoskami zbitymi w puch, który nazywa się kapokiem. Puchowce rosną w Ameryce Południowej i na Wyspach Bahama. Tam puchu tego używa się do napychania poduszek i kołder oraz pasów i kamizelek ratunkowych, zwanych również kapokami.

NAJMNIEJSZE drzewa na świecie rosną w okolicach podbiegunowych. Np. na Spitsbergenie rośnie wierzba polarna osiąga ona wysokość 5—10 cm, a grubość jej pnia wynosi od 3 do 6 mm. Wszystkie liście tego drzewa można zliczyć na palcach obu rąk. Naprawdę dużymi roślinami na tej wyspie są wyższe od wszystkich tamtejszych drzew — trawy. Mają one 40—50 cm wysokości.

●

LIPA rosnąca w Cielętnikach w woj. częstochowskim jest najgrubszym drzewem w Polsce. Obwód tego wspaniałego drzewa wynosi 12 metrów.

Dotychczas za najgrubsze drzewo uważano dąb rosnący w Piotrowicach (woj. zielonogórskie), ale ma on tylko 9,5 metra obwodu.

Słynny dąb „Bartek" koło Zagnańska na Kielecczyźnie ma pień o obwodzie 9 metrów.

●

NAJWYŻSZE drzewa świata rosną w Australii. Są to drzewa eukaliptusowe, które osiągają wysokość 155 metrów. Przewyższają one sławne z długowieczności kalifornijskie sekwoje, które nie przekraczają 140 metrów wysokości.

Nasza okładka

Właśnie pracujemy

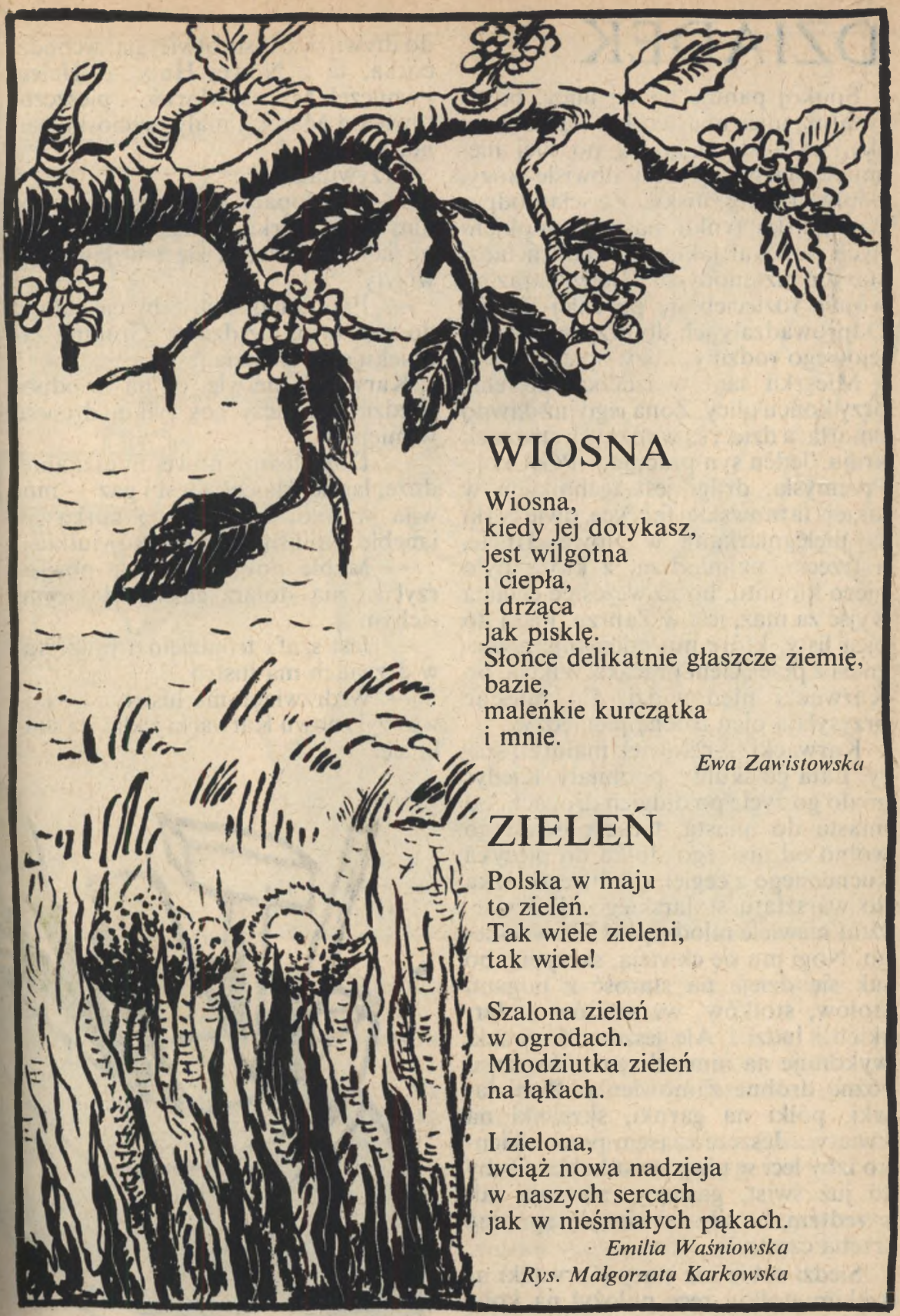

WIOSNA

Wiosna,
kiedy jej dotykasz,
jest wilgotna
i ciepła,
i drżąca
jak pisklę.
Słońce delikatnie głaszcze ziemię,
bazie,
maleńkie kurczątka
i mnie.

Ewa Zawistowska

ZIELEŃ

Polska w maju
to zieleń.
Tak wiele zieleni,
tak wiele!

Szalona zieleń
w ogrodach.
Młodziutka zieleń
na łąkach.

I zielona,
wciąż nowa nadzieja
w naszych sercach
jak w nieśmiałych pąkach.

Emilia Waśniowska
Rys. Małgorzata Karkowska

DZIADEK

Spokój panuje na tej ulicy, bo to ostatnia ulica miasteczka: wąska, krótka, wyboista. Chodzą po niej nieśmiałe, ciche pieski i obwisłe kozy, domy są szare, niskie. Ze ścian odpadają plastry tynku, na ramach okiennych popękał lakier. Więcej tu ludzi starych niż młodych. Młodzi zaraz po wojnie rozlecieli się po całej Polsce. Odprowadzały ich do przystanku kolejowego rodziny, kozy i pieski.

Mieszka sam w izdebce-suterenie przy końcu ulicy. Żona jego już dawno umarła, a dzieci są w różnych stronach kraju. Jeden syn pracuje w PGR koło Przemyśla, drugi jest technikiem w jakiejś tarnowskiej fabryce, dwie córki są pielęgniarkami w Nowej Hucie, a trzecia, najmłodsza, z którą było nieco kłopotu, bo za wcześnie chciała wyjść za mąż, jest w Zabrzu. Piszą do ojca listy, które mu odczytuje poważnie i z przejęciem praczka Wikcia, bo Karwacki niedowidzi. Co miesiąc przysyłają ojcu trochę pieniędzy...

Karwacki — człowiek malutki, szary. Lata go skuliły, poobijały. Kiedyś gnało go życie po długich drogach, od miasta do miasta, teraz posuwa go wolno od niskiego stołka do piecyka kuchennego z cegieł, od dużego łóżka do warsztatu stolarskiego. Ten warsztat niewiele młodszy od Karwackiego. Nogi mu się chwieją, skrzypią, bo tak się dzieje na starość z nogami stołów, stołków, warsztatów stolarskich i ludzi... Ale jeszcze Karwacki wykonuje na nim od czasu do czasu różne drobne zamówienia. Robi ławki, półki na garnki, skrzynki na kwiaty... Jeszcze czasem przez okienko izby leci w ulicę świst hebla. Cichy to już świst, gasnący, nie taki jak przedtem; bo siły już nie tyle, spocząć trzeba często...

Siedzi sobie raz stary Karwacki na niskim stołku, ręce położył na kolanach, spoczywa. Nagle ktoś zapukał do drzwi; drzwi się otwierają; wchodzi córka, ta z Nowej Huty — Helcia i wnuczek Maruś (Maruś — pieszczotliwie od Marek), mały, wścibski brunecik.

Przywitanie...

Maruś dopadł świderka i już coś nim kłuje, córka Helcia rozgląda się po izbie, uśmiecha się i wyjawia cel wizyty.

— Przyjechaliśmy, żeby cię zabrać do nas, tato, już dzisiaj. Gratami zaopiekuje się Wikcia...

Karwacki nie wie, co na to odpowiedzieć, mruczy coś tylko, drepcze w miejscu...

— Dostaliśmy nowe mieszkanie, duże, ładne, łazienka jest i gaz — mówiła wesoło, zachęcająco córka — i meble kupiliśmy na raty, nowiutkie...

— Meble nowiutkie... — powtórzył za nią stolarz głosem drżącym, cichym.

— Jest szafa trójdzielna, brązowa, w drzwiach ma lustro...

— W drzwiach ma lustro... — powtórzył znowu Karwacki jękliwie i skulił się.

— Tapczan dwuosobowy, fotel rozkładany...

— Rozkładany — jęknął przestraszony Karwacki i cofnął się w kąt.

— A w kuchni jest stołek, ma złamaną nogę — odezwał się nagle Maruś, który miał już dość świderka.

Dziadek nadstawił uszu, niezdarnie zbliżył się do wnuczka, którego matka karciła.

— Jest taki stołek, Marusiu? Naprawdę jest? — upewniał się.

— Jest, dziadziu, farba z niego zlazła.

— I co jeszcze jest, co jeszcze jest, mów, dziecko...

— Żółte krzesło z dziurą, tatuś na nim podarł spodnie, skrzynka bez jednej deski, cebrzyk bez dna — wyliczał Maruś.

Karwacki pogłaskał śliską głowę wnuczka i zaczął przygotowywać się do wyjazdu.

Najpierw do małego zgrzebnego worka włożył hebel, dłutko i młotek.

Julian Kawalec
Rys. Katarzyna Orthwein

JABŁONKA

Kwitnąca jabłonka
to koncert
na cześć słońca.
Koncert w pastelowym
kolorze.

To motyl
o drżących
skrzydełkach,
co się tutaj
zabłąkał.

To obłok,
co się zsunął
z nieba i
śpiewa,
śpiewa,
śpiewa!

Jadwiga Hockuba
Rys. Barbara Mudryk-Gołdan

PAMIĘĆ O TAMTYCH DNIACH

„Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł Biały". Pod tym znakiem Polacy walczyli na wszystkich frontach, przelewali krew pod Monte Cassino, w Normandii, pod Narvikiem, pod Lenino nad Orszą i u siebie w kraju, podczas Powstania Warszawskiego, pod Kołobrzegiem i wreszcie zdobywając razem z Armią Radziecką, Berlin.

Wkrótce minie pół wieku, jak Polacy porwali za broń w obronie kraju. Siły były nierówne, walczyliśmy sami. Mimo bohaterskiej obrony Warszawy, Westerplatte, Helu, Modlina — Niemcy okazali się silniejsi, zajęli nasz kraj, mordowali Polaków, Żydów, dorosłych i dzieci. Słynny był dramat polskich dzieci z Zamojszczyzny, wywożonych w głąb Niemiec. Wiele z nich zginęło, nie wróciło do kraju, mogiły ich, jak i mogiły żołnierzy i partyzantów, rozsiane są po całym świecie.

W 1939 roku byłem żołnierzem 33 pułku piechoty. Razem z nim przeszedłem w walkach od Łomży do Bugu. W Kowlu wojska radzieckie rozbroiły żołnierzy naszego pułku i wysłały w głąb Rosji. W roku 1943 wstąpiłem do Armii Polskiej, która powstała wtedy na terenie Związku Radzieckiego. U boku żołnierzy radzieckich, naszych sojuszników, walczyłem z hitlerowcami pod Lenino i o Warszawę.

Krew Polaków liczy się tak samo, czy została przelana na Zachodzie, czy na Wschodzie. Dzięki tej walce, początkowo przegrana, wojna zakończyła się w 1945 roku pełnym zwycięstwem. Polskie sztandary zatknęliśmy na murach niemieckiego Parlamentu w Berlinie. Odzyskane zostały: Wrocław, Szczecin, Gdańsk, Opole i Olsztyn. Stopniowo odbudowaliśmy kraj.

Wojna nigdy nie jest łatwą rzeczą, a ta — II wojna światowa była wyjątkowo okrutna. Poległo ponad 40 milionów ludzi, w samej Polsce sześć milionów. O tej ostatniej wojnie, którą przeżyli wasi dziadkowie i cały kraj, trzeba pamiętać. Należy zrobić wszystko, by kolejnej wojny nie było. Bomby padające na bezbronne miasta — to rzecz straszna. Bomby atomowe zmiatają nawet największe miasta z powierzchni ziemi i nikt się nie może uratować. Dlatego nie tylko Polska, lecz Związek Radziecki i Ameryka starają się porozumieć, by świat rozbroić, rakiety i bomby zniszczyć, aby życie ludzi na ziemi było spokojne, bez wojen. Lecz nawet i dzisiaj wojsko i żołnierze są potrzebni, by bronić kraju i zabezpieczać pokój.

Historia Polski — to historia oręża polskiego, historia pracy i wysiłku wszystkich ludzi dobrej woli. Bo na całym świecie są państwa dobre i złe, są jeszcze ludzie, którzy myślą, by odebrać nam Śląsk i Szczecin, oraz tacy, co chcą korzystać z cudzej pracy i cudzego potu. O tym trzeba wiedzieć. Tych ludzi trzeba znać. I należy umacniać nasze własne siły i własne wojsko, aby odebrać im ochotę do napaści na nas. Stare polskie powiedzenie mówi, że myśląc o pokoju należy być przygotowanym do obrony naszego kraju. Dlatego wysiłek wielu ludzi i rozumnych państw idzie w kierunku, by nie dopuścić do wojny. Biorą w tym wysiłku udział również dzieci, organizując sztafety pokoju i przyjaźniąc się z dziećmi innych krajów. Chcemy zrobić wszystko, by już w 1989 roku, w pięćdziesiątą rocznicę napaści III Rzeszy Niemieckiej na Polskę, w rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej, doprowadzić na świecie do takich porozumień, zwłaszcza wielkich mocarstw, by nigdy więcej wojna nie była możliwa.

Włodzimierz Sokorski

POCHÓD KWIATÓW

Narwałem kwiatów, kwiatów
naręcze, bukiet, bukiecik.
Przyniosłem tę świetność do szkoły.
— Bierzcie, dzieci!

Każdemu dałem po jednym
czerwonym kwiatku.
Małgosia kwiat wpięła we włosy,
Janek przy czapce zatknął.

Wesołe majowe kwiaty,
goździki, czerwone goździki,
kwiaty i kwiaty jak ptaki,
jak kląskające słowiki.

Jak szczygły i wilgi śpiewające,
flety, fujarki i dzwonki,
sfrunęły z dziećmi na miasto —
wprost z łąki.

Już kwiaty śpiewają i idą,
z ulicy w ulicę — majowe.
Kwiaty-słowiki, kwiaty-skowronki,
ptaki goździkowe.

— Dzieci, a teraz każde
swój kwiat w górę — nad głowę!
Oto kwiatem czerwonym
witamy słońce majowe.

Tadeusz Kubiak

NOC MAJOWA

Z głębi snu wyniósł mnie na powierzchnię jawy
jakby oddech — niczyj a ogromny.

Gwiazdka stała nad ruiną Warszawy
jak najwyższy, najmniejszy pomnik.

Oddychała odrodzona zieleń,
dźwięk był tkliwy i nikły.

Nam, którzyśmy ich śmierć zamilczeli,
śpiewał słowik — z ich ciszy odmilkły.

Julian Przyboś

Rys. Małgorzata Chwiałkowska

SZUM DRZEW

Najpiękniej ta piosenka śpiewa,
którą się w sen kołyszą drzewa,
kiedy w powiewie liść szeleści
i ucho jak milczenie pieści.
Posłuchaj ze mną tego szumu,
wpiszę go tobie do albumu.

Leopold Staff

Opowiadanie z albumu pt. „Pamięć", zawierającego teksty polskich autorów poświęcone żołnierzom radzieckim poległym w czasie II wojny światowej w Polsce. Album ten, pod redakcją Janusza Przymanowskiego, Hanny Prokopczuk, Romana Muranyi, w opracowaniu graficznym Dymitra Pietrowa, ukazał się staraniem Polskiej Agencji INTERPRESS, Warszawa 1987.

Rys. Bogumił Białoblocki: lat 9

ALOSZA

Wieś nazywała się Sierzchów. Ot, kilka chałup pomiędzy kusymi zagonami a poważnym sosnowym lasem, z którego wymykały się leśne dukty, małe brzózki o omszonej korze. Gdzieś — prawie na końcu świata, była stacja kolejowa w Baniosze, jeszcze dalej łuny dogasającej Warszawy, i jeszcze, nieskończenie daleko, za Wisłą, wolność, oznajmiająca o sobie ledwo słyszalnym hukiem dział.

Uchodźcy z Warszawy rozpychali sąsieki w stodołach, tłoczyli się na mierzwie obór i stajen, kulili się pod grzędami w kurnikach, głodowali, obsypywali się wrzodami, krwawili z dziąseł, chorowali i umierali. Ale jeżeli mieli jeszcze trochę sił, zwlekali się do płotów i chwytając obdarte kołki, słuchali głosu frontowych dział.

Pamiętam pierwszy czołg, ogromny i ciemny. Na jego boku płonęła czerwona gwiazda. Jeszcze dzisiaj słyszę miałki szelest zmrożonego śniegu pod gąsienicami. Nie było kwiatów, bo skąd kwiaty w styczniu, tylko z otwartych szeroko oczu spływały łzy, tylko wargi poruszały się niemo nie wypowiadając ani jednego słowa.

Wynędzniali ludzie szarpali czołgistów za rękawy szyneli, każdy chciał ich gościć, rozpowijano słoninę, dawano dwa pszenne suchary, ostatnią łyżkę marmolady w sieroco pustym słoiku. Gospodarze z Sierzchowa równie wygłodzeni i szarzy, jak ludzie wygnani z Warszawy, przegrzebywali wnętrza kopców ziemniaczanych, wygarniali ostatnie przygarście mąki z bodni.

Gospodarze z Sierzchowa, w których stodole bytowaliśmy, nie wypędzili mnie z kuchni, zresztą może mnie nawet nie widzieli.

Na ławie pod rzędem świętych obrazków siedział czołgista z wicher-

kiem jasnych włosów nad czołem, białozęby.

Kiedy się uśmiechał, aż jaśniało w zakopconej kuchni oświetlonej tylko poblaskiem żaru z paleniska. Kiedy zaśpiewał, niegłośno, przeciągle, Jadźka, córka gospodarzy, usiadła obok niego. Ja, dziecko, ze swojego kąta, widziałam, jak nagle zmieniła się jej pochmurna twarz, rozbłysła, wypiękniała i wtedy dostrzegłam, że Jadźka ma ciemne długie rzęsy, ciężkie włosy splecione w warkocz i policzki gładkie, jak skórka dojrzewającego jabłka.

Przygasł żar na palenisku, gdy smagłą dłoń Jadźki nakryła szeroka ręka młodego żołnierza. Tego nie zobaczył nikt, tylko ja, bo tylko dzieci wiedzą, co dzieje się na ławie, pod osłoną stołu, ale zatrzymują tę tajemnicę dla siebie.

Na drugi dzień już wszyscy widzieli, jak Jadźka biegnie za czołgiem, i, jak ten młody zuchowato wyprostowany w wieżyczce, macha rękawicą i coś woła, a czołg zagłusza wołanie basowym pomrukiem.

— Wstydu nie masz — spod palców gospodyni płynęła wstążka ziemniaczanych obierek. — Tak za pierwszym lepszym zaraz lecieć.

— Alosza nie pierwszy lepszy — oczy Jadźki stały się ogromne, błysnęły gniewem. — Ja go kocham! Słyszy mama? On do mnie napisze.

— Et, głupia. Napisze, akurat!

Wiosną przyszedł list. Był trójkątny, litery nieznanego kroju, tylko cyfry takie same, znane i zwyczajne. To, co napisał Alosza, odczytała starsza dama rezydująca w sąsiedzkim kurniku. Jadźka nosiła trójkącik przy sobie oglądając go sekretnie, aż poszarzał, a litery prawie się zatarły.

Gdy rozpękły się pąki wiśni błyskając zatajoną bielą, znów przyszedł list. Nim stara kobieta zdążyła przeczytać pierwsze słowa, Jadźka krzyknęła, a potem siedziała na progu kurnika, kołysząc się całym ciałem w tył i w przód. Usiadłam przy niej, bo ja, dziecko, także wiedziałam, że stało się coś strasznego.

— Aloszę zabili — zaszeptała Jadźka, jakby zwierzała mi tajemnicę. — Jego kolega napisał, że zabili pod takim miastem, co nazywa się Wrocław.

I nagle ni to zapłakała, ni to zawołała:

— Alosza, moje kochanie, Alosza gdzie jesteś...

Jeszcze długo Jadźka nakrywała warkocze czarną chustą, aż zaczęli ją nazywać wdową po Aloszy. W tajemnicy przed matką rozkładała na stole świstek papieru i wodziła palcem po nieznanych literach, jakby chciała przeniknąć coś tylko sobie wiadomego.

Tyle wiem o Aloszy, białozębym i jasnowłosym, pokochanym w mazowieckiej wsi, poległym na Śląsku. Teraz, gdy słyszę to imię, przypomina mi się wielki czołg pełznący białym bezdrożem i wąska ręka Jadźki ściskająca potajemnie szeroką dłoń młodego żołnierza...

Ewa Nowacka

Rys. Marek Pietkiewicz, lat 9

DZIEŃ DAHISA I AL-GHABRY

— Al-Ghabra! Al-Ghabra! — krzyczą ludzie z rodu Abs.

— Dahis! Dahis! Dahis! — wołają młodzieńcy z rodu Zubjan.

Na rozległym stepie po wyznaczonym szlaku pędzą konie wzbijając tumany kurzu. Zgromadzeni mężczyźni zaciskają pięści i krzyczą, ile sił w płucach.

Zwycięstwo w wyścigach to nie tylko uczucie triumfu. To wielki powód do dumy. Można wtedy każdemu powiedzieć: Jestem z rodu niepokonanych. Do nas należą najlepsze i najszybsze konie.

Tutaj małe wyjaśnienie. Rzecz dzieje się 1400 lat temu na Półwyspie Arabskim. Oba rody należą do plemienia Ghatafan. Co jakiś czas spotykają się w tym samym miejscu i walczą o zwycięstwo w konnych wyścigach, popisując się swoją zręcznością. Piękne, zgrabne konie to ich duma i radość. Ale niezwykle rzadko pojawia się rumak o ognistym spojrzeniu i nogach szybkich jak wiatr. Kto może się poszczycić takim zwierzęciem, ten jest pewien wygranej.

Tym razem jedni i drudzy mieli wspaniałe, szybkonogie konie, jakie rodzą się raz na wiele lat.

— Al-Ghabra! — Krzyk ulatywał pod niebo, ale brzmiał już nieco inaczej. Klacz pędziła przed siebie znacznie wyprzedzając ogiera Zubjanitów. Nagle zakotłowało się na szlaku. A kiedy kurz opadł, wszyscy zobaczyli klacz z trudem podnoszącą się z ziemi.

— Wstała! Na szczęście! To znaczy, że nie złamała nogi. Ale dlaczego upadła? Co mogło się stać?

— Zdrada! — zawołał młodzieniec, który dosiadał Al-Ghabrę. — Zasadzka! Zubjanici rzucili coś pod nogi mojej klaczy. Zdrada!

Wszyscy byli oburzeni. Pięści uniosły się w górę. Obnażone miecze błysnęły złowrogo.

Rada starszych gorączkowo szukała wyjścia z sytuacji. Jedni domagali się odszkodowania za obrazę honoru, drudzy powtarzali z uporem, że nikt z nich nie stawał na drodze Al-Ghabry.

Wyścig przerwano. Ludzie rozjechali się w różne strony. Przy najbliższym spotkaniu młodzieńców z obu rodów doszło do kłótni na temat ostatnich wydarzeń. Spotkanie skończyło się bójką. Zubjanici musieli wystąpić w obronie swojego rodaka. Napadli więc na obóz Absytów.

W ten sposób koń stał się przyczyną krwawej wojny rodowej, która trwała czterdzieści lat, dopóki starszyzna nie

obmyśliła sposobu na przerwanie pasma nieszczęść.

Zubjanici z własnego majątku zapłacili okup za każdego poszkodowanego w wojnie człowieka, po raz pierwszy omijając odwieczne prawo zemsty. Przedtem każda zniewaga, każdy cios musiał być oddany z nawiązką. Beduini z wielką powagą i poświęceniem bronili honoru własnych rodów i plemion.

Czterdziestoletnia wojna przetrwała w opowieściach pod nazwą „Dzień Dahisa i Al-Ghabry". Wielcy poeci arabscy z tamtych czasów układali pieśni, które do dziś porywają i wzruszają słuchaczy.

Aleksandra Witkowska

KASYDA* STAROARABSKA

(fragment)

Ptaki spokojnie spały jeszcze w gniazdach,
gdy wyruszałem w niebezpieczną drogę
na krótkowłosym, pięknie zbudowanym koniu,
który bez trudu dogania najdziksze zwierzęta.
Atakuje, ucieka, szarpie w tył, do przodu,
podobny do kamienia strąconego w przepaść
przez rozpędzony, wartki nurt strumienia.
W jego pogodnym rżeniu usłyszysz na pewno
gorące wrzenie kotła na ognisku.
Ze swego grzbietu zrzuca lekkich jeźdźców
a ciężkim i gwałtownym zrywa szaty z ciała.
Ma skórę jak gazela, lekkie nogi strusia,
krok wilka, biega — niczym młody lis.
Podczas gdy inne umęczone konie
wzbijają kurz stukając kopytami w ziemię
on wznosi się w powietrzu jak swobodny ptak.

Imru Al-Kajs
przekład z arabskiego
Janusz Danecki i Aleksandra Witkowska

Imru Al-Kajs to jeden z największych poetów arabskich tworzących w VI wieku, a więc przed wystąpieniem Mahometa.

* Rodzaj poezji, która narodziła się na Półwyspie Arabskim w czasach przedmuzułmańskich.

KONIUSZA GÓRA

Przybysław, stary i dzielny żołnierz, wśród nieszczęść i ofiar dla kraju postradał cały swój majątek, składający się z kilku pięknych wsi, w proszowskiej ziemi położonych. Z całego dziedzictwa pozostał mu tylko stary, drewniany dworek tulący swą ubożuchną strzechę u stóp wyniosłej góry. Ale Przybysław mężnie znosił utratę majętności, żył samotnie, dzieląc swój czas między uprawę maleńkiego ogródka a staranne pielęgnowanie jedynego swego przyjaciela — konia Białonóżki. Kiedyś Przybysław posiadał wielki majątek i liczne stado pięknych koni.

Z czasem, gdy wojenne wyprawy wyczerpały majątek Przybysława, a nieszczęścia krajowe pozbawiły go reszty fortuny, z wszystkiego pozostał tylko wierny koń bojowy, który przebył ze swoim panem niejedno niebezpieczeństwo. Szlachetne to zwierzę pięknością swoich kształtów, składnością ruchów, wielkim nad podziw rozumem i przywiązaniem do pana — zadziwiało wszystkich.

Pieścił go też i pielęgnował Przybysław najczulej. Wystawił dla Białonóżki czyściutką i cieplutką stajenkę u stóp góry i sam mu zadawał owsa i poił czystą kryniczną wodą. Koń przywiązał się do niego i chodził za nim jak pies. Bywało, Przybysław wyjdzie na wysoką górę, co się nad jego dworkiem wznosi, i zagra na rogu dawną pieśń wojenną — a jużci Białonóżka wybiega rżąc radośnie ze stajni i obcesem bieży na górę do swego ukochanego pana.

Pomiędzy kupcami dobijającymi się o kupno tego pięknego konia najgorliwszym był pewien węgierski magnat, który, zasłyszawszy o sławie Przybysławowego rumaka, przybył umyślnie aż w te strony. Koń podobał mu się nad wszelki wyraz i magnat wielkie ofiarowywał Przybysławowi sumy, ale rozumie się, bezskutecznie, dzielny bowiem ten wojownik ani słyszeć o sprzedaży bojowego przyjaciela nie chciał.

Chytry Węgier, widząc, że prostą drogą nie osiągnie zamierzonego celu, a pałając żądzą posiadania rumaka, chwycił się niegodnego podstępu. Zwabił więc Przybysława na rycerską ucztę i w starym miodzie zadał mu usypiające krople, a korzystając ze snu wojownika, uprowadził z sobą do Węgier dzielnego Białonóżkę. Rumak opierał się gwałtowi z całych sił, ale wędzidło i ostroga przemogły — i smutny koń w obce zawleczony został strony.

Na rozległych równinach nad Sawą, pośród bogatych pastwisk, tęskni Białonóżka do swego starego pana, do łąk proszowskich. Ani przymilenia węgierskich jeźdźców, ani swobodne bujanie po stepach nie może z pamięci biednego konia wyrugować pieszczot żołnierza, czystego owsa i źródlanej wody. Często Białonóżka w najwe-

selszym pląsie stada smutnie staje, zwiesi łeb i jakby duma o dalekiej stronie i dalekim panu.

Dzielny rumak pięknością kształtów, bystrością, szykownością cieszył nie tylko oko ludzkie, ale wywierał i na inne konie wpływ szczególny. Wkrótce też w tabunie wszystkie inne ustąpiły mu pierwszeństwa i tak stał się przewodnikiem.

Minęły dwa lata.

Pewnej czerwcowej nocy... spoczywało stado końskie wśród obszernej równiny, bardziej ku Karpatom podanej. Dozorujący czikosi zasnęli snem spokojnym, bo i czegóż mieliby czuwać, gdy stadu przewodzi Białonóżka. Ale Białonóżka dziś tęskni dzień cały, z lekka szczypie trawkę na bogatym pastwisku i jakby rozumne stworzenie czeka nocy. Gwiazdy prześliczne wypłynęły na szafir nieba i księżyc lekko ozłocił wysokie Karpat szczyty. Białonóżka lekko zarżał i stado zbiegło się do niego. On obiegł tabun wokoło i runął na jego czele w drogę. Popędził na północ do ojczyzny, a za nim reszta stada.

Kędy suną się konie, dziwią się ludzie niepomału temu zjawisku; ale któż je wstrzyma w drodze? Roztrącą, roztratują i dalej pobiegną — a na czele Białonóżka pędzi i rży coraz radośniej, bo coraz bliżej ojczystej strony.

W proszowskiej ziemi wiosna roztacza swoje powaby. Wszystko to dawniej radowało skołatane serce Przybysława. Ale dziś, gdy ostatniego, prawdziwie wiernego utracił przyjaciela, cóż go to może obchodzić. Ciężko się na piersi robi starcowi, więc wzdycha.

A tymczasem słońce jasną swą głowę kładzie do zachodu i czerwonymi promieniami zalewa całą okolicę. Starzec wpatrzył się suchym okiem w tę konającą pochodnię dnia i zamyślił głęboko, nie zważał więc na coraz to bliższy tętent, który dudnił po drodze. Nareszcie słońce ostatkiem promieni musnęło wyniosłą górę, a u stóp jej stanęło stado, a na jego czele dzielny Białonóżka.

Poczuł piękny rumak ojczystą zagrodę i obecność pana... więc zarży radośnie. Dosłyszał to Przybysław, ale nie wierzy swoim uszom, aż tu i Białonóżka w pędzie staje przed nim. Zerwał się starzec, przeciera oczy wątpiąc, czy śpi, czy czuwa. Lecz tak... Białonóżka... a za nim stado pięknych rumaków. Objął więc stary żołnierz wiernego konia za szyję i uściskał serdecznie szlachetnego przyjaciela. A Białonóżka rżał i grzebał kopytem radośnie.

Zbogacony przybyciem stada Przybysław odzyskał swoją ojcowiznę, przyjaciół i znajomych — a na podziękowanie Bogu i pamiątkę tego zdarzenia kościół wystawił na wysokiej górze, która nazwę Koniuszej przybrała.

Adam Wiślicki

(Klechdy domowe. Podania i legendy polskie)

Rys. Joanna Kusek

KONIE, KONIE

Każdy konik gniady
gubi w śniegu ślady.

Każdy konik płowy
ma złote podkowy.

Każdy konik siwy
ma różę u grzywy.

Spójrz, jak w końskich chrapach
świeci róży zapach.

Stanisław Grochowiak

JAZDA

Wieźcie mnie,
złote konie!
Mocno trzymam obłoki uzd,
wiatr słoneczny pali mnie w dłonie,
gwiezdny pył sięga ust.
Szkło powietrza się rozpryska,
pod kopytami ginie ziemia.
Coraz szybciej —
aż ujrzę z bliska,
że nic już nie ma.

Witold Zechenter

ŻART

Konikowi w żłobie dano —
w jednym obrok,
w drugim siano.
Konik wzruszył skrzydełkami:
— Jestem polny,
zjedzcie sami!

Stanisław Grochowiak
Rys. Halina Zakrzewska-Zaleska

ROK KONIA

Zadźwięczał telefon.

— Nazywam się Monika Rausz. Telefonuję z Krakowskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Konia.

— Ojejku! — wykrzyknąłem — nie wiedziałem, że istnieje takie Towarzystwo...

— Proponujemy „Płomyczkowi" rozpisanie konkursu na opowiadanie o koniu. Pragniemy, aby przewodniczącym Jury był nasz pisarz Julian Kawalec.

— To wspaniale! — zawołałem. — Bardzo cenimy pana Kawalca.

*

Odłożyłem słuchawkę i natychmiast zwołaliśmy specjalne zebranie redakcyjne w sprawie KONIA.

— Czy nasze dzieci zainteresuje ta sprawa? — wyraziła wątpliwość pani Ala Olszewska.

— Przecież Pani doskonale wie — powiedziałem — że prawie połowa naszych płomyczkowych czytelników mieszka na wsi. Niech więc opowiedzą kolegom z miasta o swym ukochanym, zapracowanym koniku.

— A co mają zrobić te dzieci, które prawie nie znają koni? — spytała pani Ela Brzoza.

— To proste! Niech napiszą o swoim pierwszym spotkaniu z tym wspaniałym zwierzęciem. O jakiejś wakacyjnej przejażdżce drabiniastym wozem lub o książce niedawno przeczytanej, w której aż czuło się gorący oddech konia.

— Można by opowiedzieć o koniach arabskich... — odezwała się pani Aleksandra Danecka.

— Tylko krótko, Pani Olu, bo chcemy jeszcze w tym numerze, w którym ogłosimy konkurs, mieć jakieś polskie opowiadanie o koniu.

*

Zauważcie, Drodzy Czytelnicy, że nikt nie dyskutował nad tym, czy ogłaszać konkurs, czy też nie.

Mówiliśmy tylko o tym, jak go poprowadzić. A więc w tym czasie, gdy będziecie pisać swoje konkursowe opowiadania — pojawią się w „Płomyczku" wypowiedzi znanych pisarzy, ich opowiadania, wiersze i artykuły o koniach dawnych i dzisiejszych. O najwspanialszych i najbiedniejszych.

O takich, co od świtu aż do zmroku pracowały na polu. I o takich, jak „Łysek z pokładu Idy" Gustawa Morcinka, co razem z górnikami pracował pod ziemią. I o takich, jak ów Filip z opowiadania Janiny Broniewskiej, co towarzyszył żołnierzom w chwilach najtrudniejszych, pod kulami na wojnie.

Dotychczas pisaliśmy w „Płomyczku" o naszych domowych ulubieńcach, psach i kotach. Nie opuścimy ich. Ale przez najbliższy rok będziemy przede wszystkim poznawać bliżej wielkiego przyjaciela i pomocnika człowieka — KONIA. Jednym słowem, ogłaszamy w „Płomyczku" ROK KONIA

Tadeusz Chudy

Konkurs literacki pod has

KOŃ — TWÓJ PRZYJACIEL

Organizatorzy konkursu:
— Krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Konia,
Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Konia w Warszawie,
— „Płomyczek".

Celem konkursu jest wielostronne ukazanie konia — odwiecznego przyjaciela i pomocnika człowieka, przedstawienie jego piękna, wrażliwości, wierności i pracowitości, jak również pokazanie roli konia w dziejach naszego narodu.

Chcemy ponadto zmobilizować możliwie najszerszy krąg ludzi do obrony konia tam, gdzie jest źle traktowany.

Chcemy także, aby nasi czytelnicy dzięki temu konkursowi zobaczyli konia w jego nowych rolach: sportowej, rekreacyjnej i leczniczej.

Jury konkursu, któremu przewodniczyć będzie znany pisarz Julian Kawalec, przyzna wiele nagród i wyróżnień, wśród których znajdą się niespodzianki, zapowiadające ciekawą przygodę. Ale jakie to będą nagrody, to na razie — tajemnica.

Każda praca powinna być wyraźnie napisana i opatrzona imieniem i nazwiskiem autora. Prosimy o podanie dokładnego adresu (wraz z kodem pocztowym) oraz swojego wieku.

Prace należy nadsyłać pod adresem Redakcji „Płomyczka" (skr. pocztowa 380, 00—950 Warszawa) w terminie do 31 października br. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w grudniu 1988 roku. Najciekawsze spośród nagrodzonych prac opublikujemy w „Płomyczku".

WYCIECZKA NAD MORZE KARAIBSKIE

Z Hawany wyruszamy wczesnym rankiem. Mkniemy doskonałą autostradą w poprzek wyspy. Kilometrami ciągną się plantacje trzciny cukrowej. Jej wysokość sięga 2,5 m. Od czasu do czasu mijamy otoczone palmami wioski, plantacje kawy, gaje cytrusowe, pomarańczowe, uprawy bananów i innych egzotycznych owoców, takich jak grejpfruty, mango, ananasy. Po kilku godzinach jazdy nagle... niesamowity, nierealny widok. „To fototapeta, to nie może istnieć" — śmieją się koledzy. Bliżej nas błękitne niebo bez jednej chmurki, wspaniały lazur morza, a na horyzoncie góry otoczone wianuszkiem chmur. To już Morze Karaibskie, a ściślej — Zatoka Cienfuegos. Dojeżdżamy do stolicy okręgu — miasta Cienfuegos. Prześliczny rynek, otoczony starymi domami, tonie w egzotycznych kwiatach i zieleni.

Na obiad jedziemy do hotelu położonego nad brzegiem morza. Podają nam ogromne, nieznane ryby, którym z pysków wystają ostre jak szpilki zęby. Długość ryb sięga nawet 1 metra. Są bardzo smaczne, ale nie chcielibyśmy z nimi spotkać się w morzu.

Zwiedzamy budowę pierwszej kubańskiej elektrowni atomowej.

Wsiadamy na stateczek i ruszamy w rejs po zatoce. Woda jest przezroczysta, odbija się w niej niebo. Pełno tu ryb i krabów. Rafa koralowa zadziwia bogactwem barw.

Ale przez cały czas myślimy właściwie o jednym, chcemy koniecznie wykąpać się w ciepłym Morzu Karaibskim! Wreszcie się to nam udaje. Woda jest ciepła (34° C) i bardzo słona. Słońce piecze niemiłosiernie. Nic dziwnego, jest ponad 50° ...

Powoli zbliża się wieczór. Na Kubie słońce zachodzi nieco inaczej niż u nas: bardzo szybko zapada zmrok. Zatrzymujemy autobus, aby na filmie utrwalić niezapomniany egzotyczny widok zachodu słońca.

A potem już tylko kilka godzin jazdy do Hawany i powrót do Polski.

Tekst i zdjęcia Karol Latta

BRUDNY JAK ŚWINIA

Świnie nie są wcale takimi brudasami, za jakich się powszechnie uważa. Przeciwnie: nie gorzej od innych zwierząt dbają o higienę, tyle, że robią to w swoisty sposób, czyli pławią się w błocie.

Pławić się w błocie lubią również dziki, nosorożce, bawoły indyjskie oraz... jelenie i wiele innych zwierząt. A przecież nikt nie twierdzi, że dzik czy bawół jest wyjątkowym niechlujem. I wcale nie widać, żeby chodził umorusany. Kąpiele „błotno — zdrowotne", jak je żartobliwie można określić, są bowiem przejawem dbałości o własny organizm.

W gorące dnie zwierzęta ochładzają się w ten sposób nie dopuszczając do przegrzania. Błotny okład przynosi ulgę, gdy skóra jest podrażniona.

— A jeśli zwierzę po tej błotnej kąpieli nie wykąpie się w wodzie, czym to grozi?

Niczym. Gdy błoto wyschnie, to częściowo samo odpadnie, częściowo zostanie usunięte podczas czochrania się i ocierania o drzewa i skały. Po takim zabiegu sierść jest bardziej błyszcząca niż poprzednio. Zaś ocieranie się o różne przedmioty umożliwia usunięcie przeróżnych zanieczyszczeń, strupów, złuszczonej skóry itp.

Anna Siwkiewicz
Fot. Alojzy Zawadzki

DBAMY O ZDROWIE (12)

Przed wakacjami do dentysty

U bardzo wielu dzieci w wieku szkolnym obserwuje się nasilone zmiany próchnicze. Dbając o zęby nie powinniśmy zapominać o tym, aby po każdym jedzeniu umyć je lub oczyścić tak, by w szparach między nimi nie zostały resztki jedzenia. Właśnie te resztki są powodem zmian próchniczych. Rozmnażające się w nich bakterie wytwarzają kwasy, które powodują uszkodzenie zęba. Podobnie niekorzystnie na stan naszego uzębienia wpływa jedzenie słodyczy. Tam, gdzie spożywa się

Fot. Jacek Łapuszyński

dużo cukru, wiele osób cierpi na próchnicę.

Zęby należy myć przynajmniej 2 razy dziennie. Jeśli zauważymy na powierzchni szkliwa zęba zmianę barwy, wtedy należy niezwłocznie udać się do dentysty. Leczenie niewielkich zmian przebiega szybko. Jeżeli będziemy odwlekać wizytę u dentysty, może się okazać, że zmiany są już zaawansowane, a leczenie będzie trwało długo i nie obejdzie się bez bólu. Zanim wyruszymy na obozy, w góry, nad jeziora, pamiętajmy, aby wcześniej przejrzeć i wyleczyć zęby. Na wakacjach nie zawsze można szybko dotrzeć do lekarza, a silny ból zęba popsuje nam każdą, nawet najlepszą zabawę i odpoczynek.

Oczywiście, do dentysty nie należy biec w ostatnich dniach przed wakacjami, bo zwykle leczenie takie trwa dwa do trzech tygodni. Pomyślcie o tym wcześniej.

O zęby trzeba dbać, bo muszą wam wystarczyć na całe życie.

dr Leszek Marek Krześniak

Trzciniaki w gnieździe

DZIWNE GŁOSY

(część II)

Puszczyk

Głosy słowika, kosa lub drozda śpiewaka — są piękne, ale trudne do opisania. Wiele ptaków nie śpiewa tak ładnie, jak te wspomniane, ale odzywają się charakterystycznymi głosami, często bardzo dziwnymi. Te ich głosy łatwo można odróżnić od innych i zapamiętać, jak np. głos kukułki.

Z koron drzew w świetlistych lasach słychać dźwięczne „cilp-calp, cilp-calp" — to pierwiosnek, mały, zielonkawy ptaszek, który buszuje w koronach drzew. Jego naukowa nazwa Phylloscopus collybita znaczy — przeglądacz liści, liczący pieniądze, bo zapewne dźwięk cilp-calp kojarzył się rzymskim żołnierzom z dźwiękiem monet odliczanych przy grze w kości.

Wśród śródpolnych gaików i na brzegach lasów, szczególnie w upalnym dniu, gdy nawet śpiewy ptaków milkną, niesie się monotonne „ci, ci, ci, siiiit". Podobnie jak pierwiosnka, „cilp-calp", głos ten ożywia ciszę upalnych dni aż do początku sierpnia. To śpiewa trznadel — pospolity, żółtobrązowy ptak, nieco dłuższy od wróbla, zakładający gniazdo na ziemi wśród traw i zarośli.

Dzięcioły w ogóle zachowują się głośno — to pukają, to kują, to bębnią. A gdy im tego mało, krzyczą „ke, ke" lub „kej,", jak dzięcioł czarny, wszystko to służy określaniu swego terenu i odpędzaniu innych. Krętogłów, ptak upierzony jak ćma, należy do dzięciołów, ale że nie ma mocnego dzioba, zadowala się krzykiem „de, de, de" i gdyby nie to, nikt by pewnie o nim nie wiedział, że jest.

Szczególny kłopot w porozumiewaniu się mają ptaki żyjące wśród trzcin. Rośliny te szumią wciąż i ptaki muszą się jakoś przebić głosem przez ten szum. Trzciniak przekrzykuje po prostu trzciny. Drze się jak opętany całymi dniami i nie wiadomo, kiedy znalazł czas, aby upleść wokół łodyg trzcin swe gniazdo — koszyczek. Łyska z szumem trzcin radzi sobie inaczej — wydaje krótki i wysoki w tonie dźwięk, jakby ktoś odkorkowywał co chwilę wielką butelkę z równie wielkim korkiem. Bączek — jeden z najbardziej tajemniczych mieszkańców trzcin, wydaje tony niskie — pomrukuje jak nie ptak, a wieczorem i nocą samiec poszczekuje sobie, jakby był psem, a nie ptakiem.

Także nocą pokrzykują sobie puszczyki. Zwykle słyszy się młode i samicę — wołają one ostre „kiwit", czego nigdy by się nie przypisało sowie. Melodyjne „hu, huhu" samca słyszy się rzadko, choć puszczyki gnieżdżą się wszędzie w starych parkach, także miejskich, i w dziuplastych drzewach na wsi. Są to pożyteczne ptaki żywiące się głównie myszami.

Młody bączek

Tekst i fot. Wiktor Pawłowski

Mistrz — Zbigniew Rychlicki, Szef — Czesław Wiśniewski (dyrektor I.W. „Nasza Księgarnia")

ZACZNIJMY OD BAJKI

„W dalekiej krainie, której jeszcze stopa ludzka nie dotknęła ani oko ludzkie nie widziało, żyła gromadka rozumnych Hecoludków".

— I co dalej? — pytam.

„Była to niezwykle interesująca kraina, w której nikt nie był smutny".

— A więc było w niej tak samo wesoło, jak tutaj, w Klubie „Expressu Wieczornego", na wieczornym spotkaniu z SZEFEM i MISTRZEM. Przybiegło na to spotkanie co najmniej 70 dzieci. Niektóre z wymyślonymi przez siebie bajkami.

Właśnie cytuję początek bajki napisanej przez 11-letnią Monikę Kalinowską:

„A zwała się ta kraina Hecolandią. Królem Hecolandii był sędziwy Hej-Hopsasa".

*

Było gwarnie i wesoło, najpierw koło stoiska z książkami „Naszej Księgarni", a potem

naprzeciw stolika, za którym usiedli SZEF i MISTRZ.

SZEF — dyrektor Czesław Wiśniewski — natychmiast zaczął opowiadać o tym, jak przygotowuje się do druku książki w wydawnictwie, którym on kieruje.

— Aż 250 różnych książek rocznie wydaje „Nasza Księgarnia"! — mówi SZEF.

I wtedy rozległo się cieniutkim głosem wypowiedziane pytanie:

— A jak pan robi kartki do książek?

Nie usłyszałem już, co odpowiedział SZEF, bo w tym momencie red. Anna Kornacka z „Expressu Wieczornego" zobaczyła mnie na sali i natychmiast zagoniła do roboty.

— Nie leń się, tylko czytaj bajki, które dzieci napisały!

Czytałem więc i jakby z daleka słyszałem, że dookoła mnie rozgrywają się jakieś konkursy i zgadywanie tytułów książek, bohaterów legend i baśni, i wybieranie najpiękniejszych ilustracji.

Od czasu do czasu spoglądałem też na MISTRZA — Zbigniewa Rychlickiego, twórcę graficznej postaci Misia Uszatka. MISTRZ co chwilę dostawał od dzieci nowe zlecenia:

— Proszę mi narysować Uszatka!

— A mnie słonia.

— A mnie osiołka i Uszatka!

*

Dlaczego tak dużo mówię (teraz, w maju, podczas Dni Oświaty Książki i Prasy) o tamtym styczniowym spotkaniu w Klubie najpopularniejszej warszawskiej popołudniówki, czyli „Expressu Wieczornego"? Dlatego właśnie, bo nagle uzmysłowiłem sobie, że przecież takie spotkania z czytelnikami i kolorowymi książkami, urządzane zazwyczaj w Dniach Oświaty, mogą odbywać się co jakiś czas również w ciągu roku. Zawsze połączone z jakąś niespodzianką. Na przykład — jak to spotkanie z jakimiś tajemniczymi osobami: SZEFEM i MISTRZEM, albo z BAJKAMI, które napiszą same dzieci, a „Płomyczek" choć kawałek którejś z nich pokaże na swoich łamach.

A ta bajka o Hecolandii naprawdę mnie zaciekawiła.

„Hej-Hopsasa miał do pomocy czterech heco-doradców. Dbali oni o to, aby w całej krainie było gwarno, głośno i wesoło. W szkołach uczono żartów, figli i psot. Za brak humoru i ponurą minę były srogie kary, np. zjedzenie tortu i dwudziestu porcji lodów w ciągu dziesięciu minut!"

*

Bądźmy zatem weseli, ale nie pustą wesołością. Bądźmy radośni po zrobieniu czegoś dobrego, pożytecznego.

Tadeusz Chudy
Fot. Stefan Rutkowski

Zbigniew Rychlicki rysuje Misia Uszatka

ASTAR

Gra planszowa „Płomyczka"

Zacznę od pradziejów, a wszystko, co tu opowiem, działo się ponoć w górach Tien-szanu, w dalekiej Azji Środkowej.

Jedna z legend kirgiskich mówi o krzywdzie, jaką plemieniu Kirgizów wyrządził pewien niecny Ormianin o imieniu Wizirian, zausznik chciwego chana Taragaja, władcy uzbeckiej Samarkandy.

Któregoś dnia Wizirian — przebrany za wędrownego mnicha — gościł wśród Kirgizów koczujących na rozległych terenach Tien-szanu wraz ze stadami owiec karakułowych i tabunów wiatronogich koni.

Kiedy pasterze zasnęli, Wizirian cichaczem, pod osłoną nocnych ciemności zakradł się do jurty naczelnika, aby skraść pamiątkę pasterzy kirgiskich, ich skarb plemienny — grę o nazwie astar.

Niecnemu Ormianinowi powiodło się. Z cenną zdobyczą (mówię cenną, gdyż plansza do gry była szczerozłota) zawiniętą w jagnięcą skórkę, Wizirian dopadł konia, zawczasu ukrytego pośród skalnych odłamów. I pogalopował na złamanie karku.

W ucieczce złodziejowi dopisywało szczęście, albowiem koczownicy przepędzający akurat stada zwierząt na nowe pastwiska nawet nie podejrzewali o zbrodnicze zamysły człowieka, któremu ze szczerego serca ofiarowali gościnę. Niestety, kiedy zorientowali się, że zostali okradzeni, przybysz był już poza zasięgiem pościgu.

Ormianin Wizirian byłby z pewnością czmychnął do Samarkandy unosząc skarb plemienny pasterzy, gdyby nie wody sprawiedliwej rzeki Czu. Rozgniewana Czu wylała gwałtownie, gdy tylko Wizirian znalazł się w pobliżu. Fale pochłonęły złodzieja wraz z łupem — rzeka nie dopuściła, by narodowa pamiątka gospodarzy tych ziem dostała się w ręce zachłannego chana Uzbeków. Od tamtych lat skarbu strzeże już nie człowiek, lecz rzeka.

Jeszcze dzisiaj w chwili, gdy słońce wdrapie się na najwyższy punkt nieba, w falach Czu można dostrzec złocistą płytę — to astar, odebrana niegdyś zuchwałemu Ormianinowi przez rzekę, prześwieca przez jej niespokojne wody.

Tak przynajmniej zapewniali mnie gościnni Kirgizi, kiedym przed kilku laty zatrzymał się na nocleg w pasterskim aule podczas wędrówki z Taszkientu do stolicy Kirgizji, Frunze.

Od czasów owej legendarnej kradzieży Kirgizi nie posługują się już w grze szczerozłotą płytą. Wygodniejszym — no i znacznie bezpieczniejszym — okazał się rysunek sporządzony po prostu na dobrze wyprawionej owczej skórze albo na kawałku gładkiego drewna. Astar — narodowa gra kirgiska, jest niezwykle popularna jeszcze i dziś nie tylko wśród młodzieży, ale i pośród najbardziej sędziwych pasterzy.

Przed rozpoczęciem rozgrywki pionki (różniące się kolorem albo kształtem) muszą być rozmieszczone z dwóch stron planszy, w koczowiskach (na polach czerwonych oraz czarno-czerwonych). Gracze dążą do zajęcia pól wyjściowych przeciwnika i wyeliminowania przynajmniej części jego pionków.

● Przeciwnicy wykonują ruchy na przemian, przenosząc po jednej figurze z dowolnego pola na sąsiednie, zawsze jednak wzdłuż linii na planszy.

● W grze obowiązuje prawo i przymus bicia pionków przeciwnika. Może to nastąpić wówczas, gdy pionek własny ma okazję przeskoczyć przez nieprzyjacielski i wylądować za nim na najbliższym polu (podobnie jak i w warcabach). W przypadku, gdy możliwe są dwa bicia jednocześnie, powinno się wybrać to, które sprzyja uzyskaniu przewagi ilościowej lub pozycyjnej.

● Za jednym zamachem — czyli w jednym przysługującym ruchu — można zbić nawet kilka pionków przeciwnika, jeśli oczywiście znajdują się one w odpowiednim rozstawieniu (pionek — wolne pole — pionek — wolne pole — pionek itd.).

● Ostatecznym celem zmagań w astar jest zajęcie wszystkich dziewięciu pól wyjściowych przeciwnika.

Naturalnie, zwycięstwo będzie jeszcze bardziej przekonywające, jeśli wygrywającemu uda się nie tylko opanować te pola, ale i ponadto wyeliminować z gry możliwie najwięcej nieprzyjacielskich pionków.

Warto zauważyć, że może zdarzyć się i tak, iż obaj partnerzy stracą większość posiadanych pionków. W takiej sytuacji wygrywa ten, który zajmie więcej pól w obcym koczowisku.

I jeszcze jedna uwaga: grę można przerwać i uważać za zakończoną także wówczas, gdy położenie na planszy wskazuje na bardzo wyraźną przewagę jednego z przeciwników.

Zdzisław Nowak

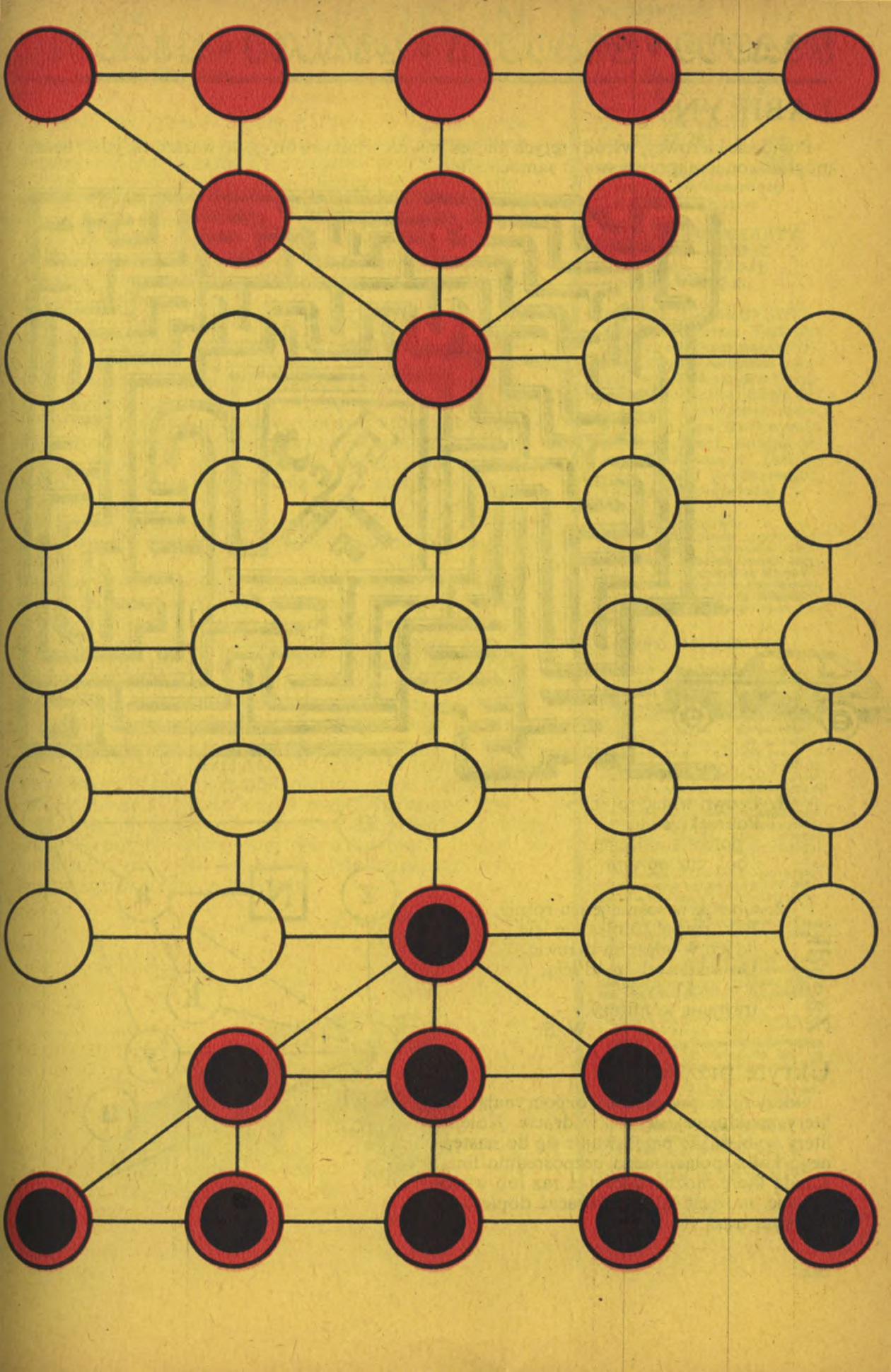

LABIRYNT

Pomóżcie kierowcy, wśród krętych uliczek znaleźć właściwą drogę do warsztatu, gdzie będzie mógł dokonać naprawy swego samochodu.

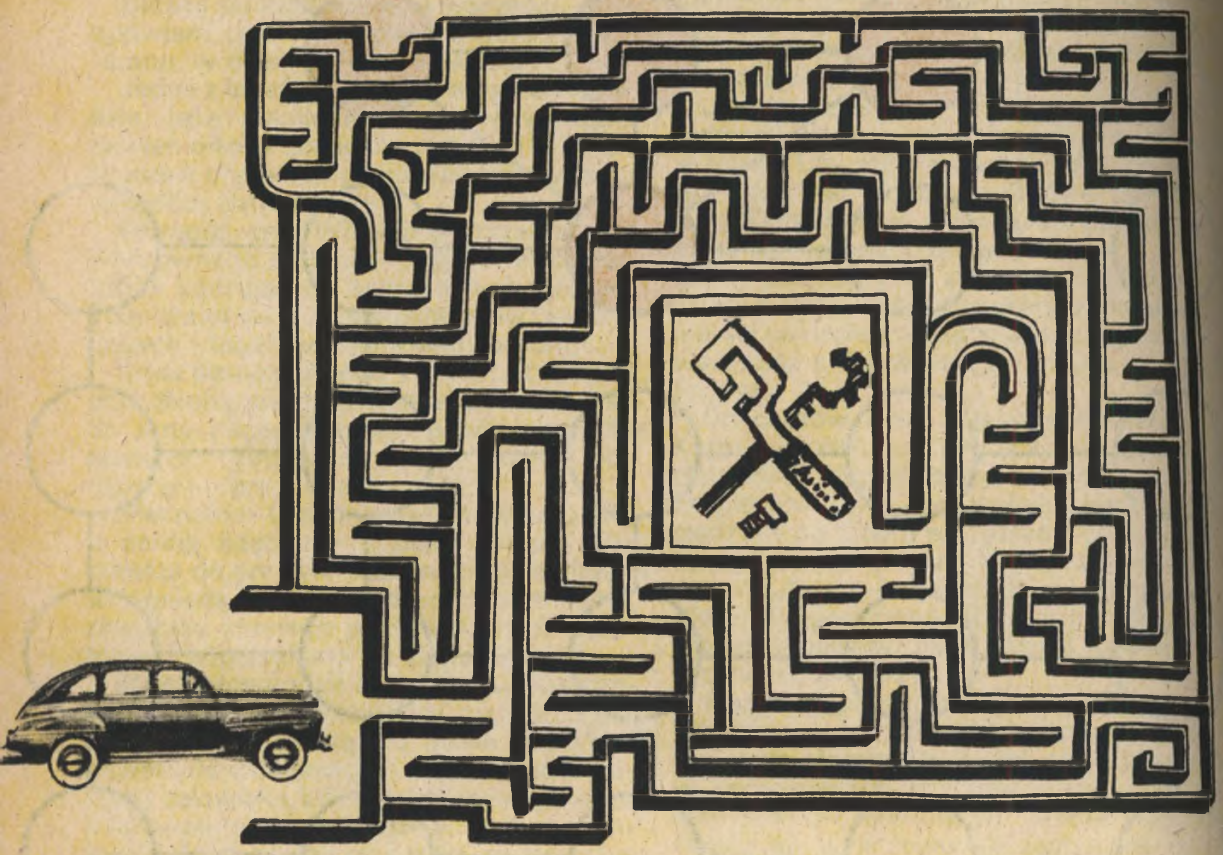

Zagadki

1. Ledwo widać to licho.
   Pobrzękuje cicho,
   a potem swędzenie
   i boli guz po nim.

2. Co rok w sośnie jeden rośnie.
   Póki rosną, to nikt nie wie,
   ile ich w iglastym drzewie.
   Do szklanych miód leją,
   a w niektórych
   trzymają konfitury.

   W. S.

Ukryte przysłowie

Odczytajcie przysłowie rozpoczynając od litery znajdującej się w kwadracie. Kolejne litery wybierajcie przesuwając się do następnego kółka połączonego bezpośrednio linią. Każdą literę można odczytać raz lub wielokrotnie, możecie także powracać dopiero co przebytą trasą.

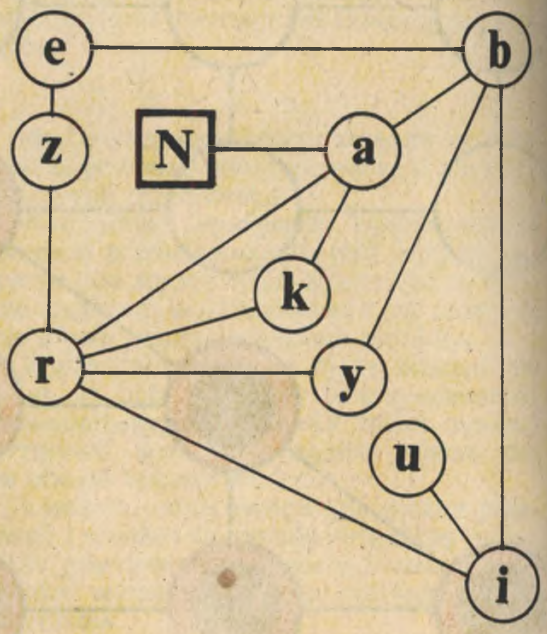

NASZ ZWIERZYNIEC

HARDUN

Agamy, do których należy hardun, to liczna grupa jaszczurek spokrewnionych z legwanami i kameleonami. Wszystkie te zwierzęta mają dziwaczne kształty, odbiegające od zgrabnej sylwetki naszej jaszczurki zwinki. Hardun — południowoeuropejska agama, ma dużą, trójkątną głowę, długie kończyny i długi ogon, obwisłe podgardle i brzuch, a skórę pokrytą rogowymi łuskami i tarczkami, układającymi się na ogonie w charakterystyczne pierścienie. Agama hardun jest żółtobrązowa z różnokolorowymi plamami na grzbiecie.

Do agam należą także małe krągłogłówki o dużych głowach i szerokich paszczach, biczogony o ogonach podobnych do maczug i molochy. (Biblijny bożek Moloch pożerał ludzkie dzieci). Agamy z gatunku molochów są za małe na ludożerców, żywią się mrówkami. Agama kołnierzasta ma śliczną kryzę wokół szyi, którą unosi, gdy jest rozgniewana, otwierając przy tym paszczę. Słynne latające smoki — to też agamy, mające po bokach specjalne błony, które pozwalają im na szybowcowy lot z drzewa na drzewo.

Agamy i legwany jakby „podzieliły" świat między siebie. Agamy żyją w Starym, a legwany w Nowym Świecie.

Legwany, to największe jaszczurki, osiągające niekiedy 2 m długości. Kameleony, podobnie jak agamy, mają przeróżne twory skórne w postaci kołnierzy, grzebieni, kryz, hełmów i rogów. Wszystkie te zwierzęta odznaczają się zdolnością zmiany barwy ciała w zależności od natężenia światła, temperatury, stanów psychicznych, głodu, przejedzenia, zmęczenia itp. Pilnie strzegą swoich terytoriów. Samce walczą z sobą strasząc się nawzajem stroszeniem owych kołnierzy i grzebieni, zmianą barw ciała na coraz jaskrawsze. Artystami w tych turniejach są kameleony! Uznany za pokonanego rywal blednie, opuszcza kołnierze i uchodzi z pola walki bez rozlewu krwi.

Niezwykłym legwanem jest bazyliszek hełmisty, który potrafi w pozycji odchylonej nieco od pionu biegać po powierzchni wody. Nie jest jednak podobny do bazyliszka — strzegącego skarbów w bajkach.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Joanna Kusek

PŁOMYCZEK

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:
kwartalnie — 270 zł,
półrocznie — 540 zł,
rocznie — 1080 zł.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Aleksandra Danecka-Witkowska, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego), Teresa Wilk-Białożej

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawlowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicą pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotac. 70 g, rola 78 cm, i rotogr. 125 g, 86×122 cm kl. V.

Zam. 4913/88 M-10
Nakład 380 370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

tekst na str. 31

HARDUN

Fot. Michał Wlaziński

CENA 45 ZŁ